



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Doświadczenie fizyczne.

Podawaliśmy już niezmierną ilość sztuczek, polegających na prawie bezwładności i tłómaczyliśmy to prawo niejednokrotnie. Oto jeszcze jedno doświadczenie podobnego rodzaju. Stos pieniążków miedzianych ustawia się na ramieniu podniesionem, jak wskazuje rycina. Jeżeli ramię osunie się bardzo

prędko i zręcznie, aby nie wstrząsnąć pieniędzy, stos cały utrzyma się przez jedno mgnienie oka w powietrzu w całości, a kto jest niezwykle zręczny, może go ręką opuszczoną pochwycić.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— A! to ty stary! Jesteś przecie!... — z zadowoleniem zauważył gospodarz, wpatrzywszy się weń przysłaniając oczy ręką od światła, mówił z niemiecka po węgiersku, często powtarzając ja! ja! — No, to dobrze, bierz się do roboty, a nie pożałujesz, że ze mną sprawę mieć będziesz. Zobaczysz! No, wołaj twoich.

— Do roboty?... ja!... Cygan! miałbym się brać do roboty! Wprzódę prochu z ciebie i wszystkich twoich nie stanie na świecie, nim się Cygan tak zhańbi żeby się miał do roboty brać! — odparł z nieopisaną w swoim rodzaju dumą, i ze wzgardą czysto cygańską dla pracy i pracujących. Wstał i poprawiając fajkę zabierał się do odejścia. — Wołasz, wołasz, prosisz do siebie, zapraszasz mię przez każdego Cygana, jakiego spotkasz, a gdy przychodzę, to mi gadasz o robocie...

— A u Petöfięgo grywaliście przecież zawsze, całą bandą? A u mnie nie chcecie? Czemu? Ludzie chwala, że wszystko byłoby u mnie dobrze, gdyby tylko jeszcze Cyganie zagrali: no gadaj czemu nie chcesz grać? Mnie koniecznie muzyki twój trzeba.

— To o granie tobie rzecz idzie? Po to wołałeś?

— Oczywiście, po cóżby innego? Tutejszy lud głupi, nie dość mu katarynki, chce was.

— To cóż o robocie znów teraz mówisz: granie to nie robota przecież, i owszem będziemy grać byleś dobrze płacił, czemu nie, tylko katarynkę z domu wyrzucić, sprzedaj albo spal.

— Katarynkę?

— No? albo co? Czy ci już tego nie mówiłem?

— Mówiłeś, ale ja myślałem, że to żarty: co tobie katarynka przeszkadza? Toż jakby kilku muzykantów więcej; chyba tobie miłej było u Petöfięgo?

— Głupi jesteś! Wszystko mi jedno ty czy Petöfi, choć co prawda tyś nie wart i za parobka u niego służyć, bo on jest porządny gospodarz; mnie kto płaci u tego gram, a teraz u niego gości niema to i nie płaci: ale wprzód własną ręką moją skrzypkę rozbiję, niż ona się ozwie pod takim dachem, kędy katarynka gra!..

Z otwartemi ze zdumienia ustami wysłuchał Niemiec tej mowy nic z niej nie zrozumiał, chciał coś mówić, wcale nie urażony wzgardliwym obejściem cygana, ale ten nałożywszy sobie tymczasem fajkę z jego kapciucha leżącego na stole, zapalił ją dmuchnął mu dymem w oczy i wyszedł. Skoczył za nim Niemiec po chwili coś sobie nowego obmyśliwszy, ale już i w głównej izbie nie było cygana. Gryząc fajkę ze złości, szedł karczmarz napowrót do małej izdebki, podrażniony tylko po drodze w dużej izbie małą, która mu za to zerwała z głowy czapkę i fajkę zręcznie pochwyliła, włożyła sobie jedną na głowę, drugą w zęby i szybko kufle jeła między gośćmi roznosić, kłaniając się nisko i wyszczerzając zęby uprzejmie:

— Gospodarz! gospodarz! gospodarz! — zakrzyczała papuga skacząc po sprzętach na około tak krzającą się przyjaciółki.

— Hap hap! — poszcze kiwał pudel tańcząc na dwóch nogach koło mały.

— Gospodarz! istny gospodarz z tej mały! — wołali goście zanosząc się śmiechu.

— Héj héj gospodarzu, a toż wy chyba krewni z sobą być musicie, boście podobni do siebie jak brat z siostrą!

— Potańczujcie ze sobą gospodarstwo! — i karczmarz wziął małą w taniec ku uciesze swych rozbawionych gości, którzy tłumnie poszli za przykładem tej pierwszej pary tak ochoczo, że aż huczącą zagłuszał katarynkę.

Tak ożywiwszy zabawę, karczmarz po niejakić chwili, spostrzegł wsuwającą się do izby starą cygankę i copędzjej skinął na nią: nieznacznie oboje wemknęli się do bocznej kryjówki:

— A co? Namysłił się wasz stary? Przyjdzie grać z bandą? Niechże prędko przychodzi. Tym głupim tutejszym ludziom niedość już doskonałej drogię katarynki, dowiepnęj papugi, zgrabnej mały i marzejszego od tych wszystkich moich gości pudła, chcą gwałtem cygańskiej muzyki, niechże stary z bandą przychodzi, niech powie przynajmniej ile chce za granie? Widać strasznie chce mię obedrzeć, kiedy się tak targuje?

— On się wcale nie targuje, nie rozumiesz tego on jest artysta, skrzypkę swoje kocha jakby siostrę, albo matkę, albo córkę, nie będzie grał tu, gdzie grywa katarynka, bo serce by go bolało iż się skrzypka jego z katarynką brata... Nie będzie grał choćbyś mu najwięcej zapłacił.

— A to waryat Cygan! — zawołał Niemiec i ręce rozpaczliwie załamał — i cóż ja tu pocznę teraz? Lud z początku bawił się u mnie wybornie, ale teraz już mu się mądre sztuki sprzykrzyły i zaczyna wdychać za cygańską muzyką. Przebakują coś że Petöfi wychorował się i znów do gospodarstwa się bierze. Jeżeli to prawda, gotowi napowrót wszyscy do starej czardy powrócić i moje ze szczeniem opuścić! Zginę! zginę! przypadnie tyle pieniędzy! pracę całego życia, wszystko co do grosza na tę karczę, jak na jedną kartę postawiłem! — jęczał karczmarz.

— A jak tu jeszcze jego syn powróci, taki co pieśni układa, ot to dopiero rzucą się ludzie do czardy bo wszyscy tego chłopca znają i bardzo lubią.

— Ależ ten chłopiec gdzieś tam przepadł, i z tego rozchorował się stary?

— Tak; a teraz się chłopiec odnalazł, stary wyzdrowiał

i dobra dola powróci lada dzień do Petöfiowej zagrody! — Karczmarz jął biegać po izdebce:

— A niechże tę Petöfiową czarę woda zaleje, wilec rozniosą, ogień spali! — zakrzyczał z roziskrzonymi złością oczyma, zacisnięte pięści do góry podnosząc, jakby nieszczęsnej czardzie wygrażał. — Niech ona zginie nie zaś moja ciężka praca!

— Praca... jaka tam praca... u Petöfich jeżeli co jest, to z pracy, ale u ciebie wszystko idzie z oszukaństwa i z kradzieży, tyś nie głupi pracować i tak jak my cyganie, wolisz kupić za grosz, co my ukradniemy, i odprzedać za dziesięć. To znaczy mieć rozum; jest zysk bez niemilej pracy. To też ja mam braterskie serce dla ciebie i chętnie chciałabym ci dopomóc... — Cyganka wypowiadała tę szczególną teorię dobitnie i z tak dziwnie zimną krwią, że Niemiec przystanął i wpatrzył się w mówiącą, nie wiedząc czy drwi z niego, czy też naprawdę w zaufaniu wypowiada naiwnie cygańskie swe przekonania. Ostatnie wyrazy zajęły nagle jego uwagę:

— Ale co? czy jak ci zapłacę to namówisz starego waszego żeby przyszedł z bandą grać u mnie? Ile chcesz? mów! dam!

— I... co tam granie, to nie pomoże, stary ojciec nie posłucha, a choćby, to i tak gdy tylko chłopak Petöfiowy przyjedzie, wrócą wszyscy do niego: ale gdyby tak starą czarę woda zalała, albo ogień spalił jakieś to mądrze przed chwilą powiedział, ot toby pomogło!..

Cyganka i karczmarz popatrzyli sobie prosto w oczy.

Z wykrzywionemi gniewem ustami, Niemiec stał chwilę jak skamieniały, bez oddechu prawie... nareszcie odetchnął głęboko, zdjął z półki chleb, ser, masło, butelkę, całą kureg upieczoną, postawił to wszystko na stole przed cyganką, sięgnął do kieszeni i położył koło chleba garstkę pieniędzy, potem usiadł na ławie przy cygance, nalał szklanek wina i podając jej szepnął, patrząc na tę szklanek:

— Marcha, ty masz braterskie serce dla mnie, poradź ty jakby to zrobić?...

Marcha najprzód obejrzała pieniądze i schowała; wzruszając wzgardliwie ramionami.

— Będzie więcej, czemu nie, tylko poradź! — pośpiesznie na ten gest odpowiedział gospodarz. Za pieniędzmi poczęło znikać jedno po drugim co tylko było na stole, nie wyjmując nawet noża, poczem cyganka wypila wino i rzekła:

— Jakiś też ty głupi gospodarzu, przecież takie nieszczęścia stają się zawsze tylko przypadkiem.

Karczmarz podrapał się gwałtownie za ucho:

— Och — mruknął przez zęby — gdyby taki przypadek miał uszy do słuchania i ręce do brania pieniędzy, tobym z nim zaraz pogadał...

— Coby mu tam z tego przyszło!... — wzruszyła ramionami z właściwym cyganom wzgardliwym gestem.

— Pięć guldenów!... — szepnął. Ona parsknęła śmiechem.

— Dziesięć!... — podwoił. Wzruszyła ramionami znowu.

— Piętnaście!... — Przychyliła sobie butelkę, wypila resztę i zabierała się do odejścia, poprawiając płachtę na grzbiecie.

— Dwadzieścia!...

— Idźcie, idźcie... chybaby też przypadek rozumu nie miał gdyby tego słuchał.

— Czterdzieści! Tak? czy nie? — chrapliwym głosem jęknął Niemiec.

— Sto! Tak? czy nie? — z dumą powstając i owijając się w purpurę, spytała indyjska królowna.

— Sto!... Sto!... Sto!... — chwytając się za głowę dyszał karczmarz, jakby go wyraz ten dławiał, i znowu jął biegać po izdebce potykając się o sprzęty, nie mogąc z wielkiego wzruszenia utrzymać się w spokoju. Marcha tymczasem postąpiwszy już ku drzwiom, zatrzymała się jeszcze i przymrużając oczy, jakby pograżona w trudnym rachunku, mrucała półgłosem niby do siebie:

— Młody wprawdzie listu matczynego nie przeczytał...

ale to wszystko jedno, tem bardziej niespokojny jest i pędzi do domu, wie że ojciec chory... to było w poniedziałek... wtorek, dzisiaj jest środa... tak! i zwracając się do rozpaczającego karczmarza, dodała:

— Dzisiejszej nocy chłopak wróci z dobrą dolą i pełną kieszenią, bo się dorobił, stary Petöfi już zdrowy, jutro święto i jarmark, kto żyw pędzić będzie do stariej czardy, cyganie już tam idą ze skrzypcami, tu u ciebie od jutra psa nie będzie... prócz twojego pudła! No: sto! Tak? czy nie?

— Niech będzie! — jęknął karczmarz i upadł na ławę.

— Daj zadatek!... nie uwierzę ci inaczej.

Krótką chwilę trwał jeszcze ten targ ohydny, dotyczący już tylko wysokości żadanego zadatku, poczem Cyganka schowała pieniądze i przemknawszy jak cień pomiędzy tańczącymi w dużej izbie, znikła za drzwiami w czarnych przepaściach nocy.

XVII.

Noc letnia ciemną była w istocie, bo chmury zasnuły blask gwiazd, ale wonną, rzeźwą i rozkoszną była mimo to, zwyczajnie jak noc w puszczy.

U wielkiego dębu, strzaskanego przed wiekiem może cięsem piorunu, i sterzącego od niepamiętnych czasów uschłemi konary pojedynczo nad zielonym stepem, Cyganie założyli chwilowo swój obóz. Stanowi go para szałasów urządzonych z wozu, rupieci różnych i płacht, co wszystko pozawieszano i poopierano na konarach uschłego dębu. Cyganka gotuje coś w kociołku zawieszonym nad nędznym ogniskiem, podsycając je od czasu do czasu kawałkiem ułamanego dębowego konaru. Nie jest to wieczerza, lecz może tajemniczy odwar jaki; banda dawno już jest po wieczerzy i śpi pod szałasami, na wozie i pod wozem. Koń podskakując z głuchym odgłosem na spętanych nogach, pasie się w pobliżu na bujnej trawie. W małym oddaleniu, na tle chmurnej nocy, rysuje się ciemniejsza od niej postać ludzka i dziwny czar melodyi rozchodzi się od niej po stepie: to stary Cygan gra tam na skrzypce swojej ukochanej, tuląc ją do siebie tem serdeczniej im rozkoszniejsze tony z niej płyną w świat. Ale chociaż rozkoszne, jednak dziwnie też i smutne one dzisiaj; takie smutne aż się sam Cygan zdumiewa: skarzy się skrzypka, czy co? Czyżby się na zniewagi od ludzi doznane skarżyła?...

— Nie lękaj się, bądź spokojna duszo moja, nie doczekają oni żebyś ty śpiewała pod jednym dachem z katarzynką!... — pociesza ją Cygan rozkochany w swjej skrzypce artysta, oburzony propozycją karczmarza. Gra on już tak od godziny wśród ciemnej nocy, usiłując wygrać na zewnątrz piersi tę zniewagę która go boli, ale to próżno, skrzypka skarży się i skarży żałośnie, cygan nie może karczmarzowi urazy wybaczyć.

— Pomszczona ty już jesteś, skrzypko srebrnostronna, pomszczona!... — mruczy daleko, daleko w głębiach nocy wędrująca Cyganka, gdy pierwszy żalony ton przeciągły doleciał na skrzydłach wietrzyka do jej uszu: nietylko poznała odrazu skrzypkę starego ojca bandy, ale nawet zrozumiała ich skargę. Przystanęła, posłuchała chwilę i poszła prosto za głosem do niewidzialnego jeszcze cygańskiego obozu. Doszedłszy, usiadła na ziemi o kilka kroków od grajki i pozostała nieruchoma jak głaz. Spała lub słuchała zakazarowana śpiewem skrzypek. Gdy nareszcie grać przestał i z głuchym westchnieniem zawrócił ku obozowi, Marcha stanęła przed nim:

— Masz za to... musiał dać katarzyniarz! — powiedziała dając mu pieniądze i używając nazwy, jaką Cyganie muzykanci-artyci dawali karczmarzowi, przez wzgardę dla jego instrumentu i z gniewu że się dotąd bez nich obywat. Stary Cygan pomimo wysoce artystycznego ducha, był przede wszystkim Cyganem, to też najprzód schował pieniądze a potem dopiero spytał:

— Z dobrej woli nie dał przecież?

— Rozumie się!... Chce katarzyniarz raz skończyć z Petöfiową czardą a sam się boi — tu Marcha dmuchnęła

sobie na dłoń, wyrażając w ten ludowy sposób spłonięcie ogniem.

— Aha, ty masz mu kartofle z ognia wyciągać.

— Chciałam całe sto, i przyrzekł dać potem, ale już ja tam tylko tego jestem pewna co weźnę przedtem.

— Oczywiście. Co wzięłaś to nasze a teraz idź spać, bo jutro ruszamy na jarmark.

— Dagonię was; teraz muszę skończyć z Petöfiową czardą...

— Co? chcesz dogodzić katarzyniarzowi? A to po co? Żeby potem ja z całą bandą za to odpowiadał? Ani się waź! Taka rzecz się nie ukryje, będą nas włóczyć po sądach i więzić w ciemnych dusznych więzieniach. I po co? Wszak sama powiadasz że *potem* karczmarz nie zechce dodać już więcej do tego coś zeń *przedtem* wyłudziła: pocóż mu pomagać!

Dwoje tych ludzi z tajemniczego, indyjskiego podobno wedle własnych przekonań pokolenia, pozbawieni jak wszyscy Cyganie najzupełniej chrześcijańskich pojęć i zasad, odpowiednio rozmawiali z sobą. Stary ojciec bandy zakazywał Cygance podpalić Petöfiową czardą, nie dla tego że to byłoby zbrodnią okropną, lecz ponieważ nie można było nic na tem zyskać, a można było zostać ukaranym. Ale Marcha potrząsała głową:

— Muszę! W razie biedy złożę wszystko na katarzyniarza, który mię podmówił.

— Musisz?... gdy ja zakazuję!...

— Tyś ojciec i pan bandy naszej, ale tak chcą jeszcze potężniejsi od ciebie: duchy!...

— A!... — mruknął stary, wpatrując się badawczo w jej oczy, o ile księżyc wyblaskujący z za chmur chwilami, pozwalał. — I dla czegoż to?

— Petöfi syn ściągnął rękę na królewską krew Ramy!... pomsta duchów musi spaść na ród jego cały! — zawołała nagle wyciągając ręce ku niebu, a oczy rozplłomieniły się jej jaskrawo-żółtym blaskiem.

— Zrobisz to przyszłej nocy zatem.

— Nie! duchy chcą natychmiast, bo tej nocy przyjedzie Petöfi syn do stariej czardy i kara dotknie cały ród razem, jutro nie nasze; jutro syn może zabrać rodziców z czardy, gdyż słyhać w mieście, że i tak za długi wziąć ją mają wierzyciele. Dla tego to dziś poszłam do katarzyniarza, który o tem jeszcze nie wie i wyłudziłam z niego pieniądze ile się dało: gdy się dowie że wierzyciele zabierają starą czardę, będzie wołał sam ją za bezcen kupić niż zniszczyć.

— Idź więc naprzód do skrzyni i przygotuj nam i wyczyść odzienię bogate na jutro na jarmark, tylko wprzódby zbudź Sewa i przyslij go tu do mnie po rozkazy! Potem czyń co kazały ci duchy!

Starzec pozostał w miejscu zapatrzony w ukazujące się z pomiędzy chmur gwiazdy, Marcha odeszła ku szałasom z których prawie natychmiast wybiegł cień wysmukły i podążył do ojca bandy.

(d. c. n.)

ZGODNA RODZINA.

Tulą się do matki
Rozkoszne jej dziatki:
Kotki bure, czarne,
Wesołe, figlarne,
Wszystkie życia chwile
Spływają im mile,
Dzieciństwa wiek złoty
To figle, pieszczoły!
Nie znają koteczki
Co waśnie, co sprzeczeki,
Tam zgoda trwa święta...
Sześcielwe kociecia!

Helena Bojarska.



NIEBIESKA POŃCZOSZKA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

przez **Bronisławę Porawską.**

OSOBY.

P. ANIELA, nauczycielka.

NIUNIA
WŁODZIO. } rodzeństwo.

MARTUSIA, stara piastunka Włodzia i Niuni.

Rzecz dzieje się na wsi u rodziców Włodzia i Niuni.

(Pokój szkolny, na środku stół zarzucony książkami, kasetami i t. p. Przy stole z głową opartą na jednej ręce. siedzi Włodzio, nogę założoną jedna na drugą, buja jak tylko można najwyżej. Przed nim książka otwarta w którą nie patrzy. Po drugiej stronie Niunia, rozparta na krzeselku, z książką na kolanach, przygląda się palcom u rąk. Na boku przy stole siedzi na fotelu Martusia, w okularach, stołeczek pod nogami, robi pończochę. Przy niej na stolczku koszyczek z kluczykami, i drugi z bawełną, w którym leży cała niebieska pończoszka już zrobiona).

Scena I-a.

MARTUSIA, NIUNIA, WŁODZIO.

MARTUSIA (*nie podnosząc oczu od roboty*). Uczyć się dzieci, uczyć, p. Aniela przyjdzie jutro, a tu pewnie ani jedna lekcya nie wykończona.

WŁODZIO (*cicho*). Nie Martusi kłopot.

NIUNIA. A na Martusię to nikt nie woła, żeby się z pończochą śpieszyła.

MARTUSIA. Bo ja nie potrzebuję żeby na mnie wołać, wiem sama że co do mnie należy, to zrobić trzeba, nikt za mnie tego nie zrobi.

WŁODZIO. Wielka mi rzecz robić pończochę (*pokazuje na palcach jakby robił pończochę*) fik, fik, i już pończocha zrobiona.

MARTUSIA. O tak, u ciebie to wszystko fik, fik, aby nie nauka, a ja znów powiem, co to trudnego patrzeć w książkę i powtarzać co tam napisane, na to nawet nie trzeba fik, fik, palcami.

NIUNIA. Tak, ale spamiętać wszystko, to niby łatwo.

MARTUSIA. Szczególniej jak kto siedzi godzinę nad książką i nie spojrzysz w nią ani razu.

WŁODZIO. Martusia myśli że to bardzo zabawne patrzeć ciągle w książkę.

MARTUSIA. A nie wiem czy to zabawne nie umieć lekcyi? mama się martwi, p. Aniela gniewa i pałki stawia w dzieniczku, to, to pewnie zabawne, co?

NIUNIA (*obrażona*). Martusia to aby gderać, już wołę nie wiem co, jak żeby Martusia siedziała mi nad głową.

MARTUSIA. Ja też nie siedzę nad głową Niuni, tylko na krzeselku, a kiedy mi mama kazała tu posiedzieć i dzieci pilnować, to siedzę i pilnuję, choćbym też wołała iść do gospodarstwa.

WŁODZIO. Bo lepiej, tam kury i kaczki tęsknią za Martusią.

MARTUSIA. Wołę sto razy mieć do czynienia z kurami i kaczkami, ba, nawet z gąskami, choć to niby nie mądre mają być ptaki, aniżeli z niegrzeczniemi dziećmi. Proszę się uczyć, a nie marudzić, bo powiem przed mamą i kwita.

NIUNIA (*biorąc książkę*). (*Przedrzeźniając*). Powiem mamie i kwita.

WŁODZIO (*zabierając się także do książki*). Ach, żebym ja jak najprędzej był już dorosłym, oho, dopiero będę używał. (*Trzyma książkę przed oczyma patrząc na sufit, powtarza*) po odkryciu Ameryki przez Kopernika w roku... w roku... (*patrzy ciągle w sufit*) w roku...

NIUNIA (*spojrzawszy w książkę kładzie ją znów na kolanach*). Co to są aniołowie? Aniołowie są to duchy... duchy... (*ogładając swe ręce*) atramentem zawsze umorusane, ale czy ja temu winna jestem? a po co tyle tego bazgrania.

WŁODZIO (*zwracając się do Niuni*). Umiesz już swoje lekcye?

NIUNIA (*rzucając książkę na stół*). Tam z temi lekcyami, człowiekowi życie się przykrzy.

WŁODZIO. Dużo mię to obchodzi kto odkrył Amerykę, A niech tam sobie będzie kto chce.

NIUNIA. Żebyś to ty co wynalazł, to jeszcze.

WŁODZIO (*kręcąc głową*). Fiu! żebym chciał tobym zaraz co wynalazł.

NIUNIA (*z zajęciem*). Wynaleź, mój kochany.

WŁODZIO (*z pewnością siebie*). No, a co chcesz żebym wynalazł?

NIUNIA (*po chwili namysłu*). Wynaleź taką maszynkę, żeby za przytknięciem do głowy, wszystko z książki w nią weszło. A co? to byłoby paradne?

WŁODZIO. Ba, to byłoby dobre, ale to trudne.

NIUNIA. Przecież łatwych rzeczy się nie wynajduje, tylko właśnie trudne.

MARTUSIA (*która przez ten czas zdrzemnęła się, i ręce z pończochą opuściła na kolana*). (*przez sen*). A nie rusz!



ZGODNA RODZINA.

WŁODZIO (*ogładając się*). Ho, ho, Martusia sobie zasnęła, i śni jęj się pewnie, że Lubuś łapie kurczęta.

NIUNIA (*śmiejąc się*). A prawda, śpi sobie w najlepsze, dobrze nas pilnuje.

WŁODZIO. E, czy my to potrzebujemy pilnowania.

NIUNIA. A umiesz swoje lekcję?

WŁODZIO. Wielka mi rzecz, a ty umiesz swoją?

NIUNIA. Jeszcze coprawda nie, ale taka łatwa to się nauczę w moment. A twoja?

WŁODZIO. O! moja bardzo trudna, tam coś o odkryciu Ameryki.

NIUNIA. Mów ciszej, to się Martusia nie obudzi, i nie będzie terkotać nad głową.

WŁODZIO. Nie bój się, nie obudzi się tak łatwo. Aj, żeby jęj jakiego figielka wyplatać.

NIUNIA (*machnąwszy ręką*). Toby potem poskarżyła, i mamaby się gniewała na nas.

WŁODZIO. Coby się miała gniewać, Martusia nie będzie wiedziała kto to i co powie? (*namyślając się*). Aha, wiem, wymyśliłem coś zabawnego, to będzie właśnie mój wynalazek.

NIUNIA (*ciekawie*). A co wymyśliłeś?

WŁODZIO (*podchodząc do Martusi*). Czy tylko śpi aby?

NIUNIA (*podchodząc na palcach*). Śpi, śpi, można teraz strzelać. No, powiedz co wymyśliłeś?

WŁODZIO (*wyjmuje pończochę z rąk Martusi i odchodzi z nią cicho na palcach*). Teraz widzisz, tę pończochę sprujemy...

NIUNIA (*przerzuwając*). Ach! nie, nie, to tyle pracy, ja wiem, jak to się trzeba namęczyć, żeby taki kawał zrobić.

WŁODZIO. E, co tam, Martusia tylko fik, fik, palcami i już zrobiona (*wyciąga druty i pruje*).

NIUNIA (*zalamując ręce*). Ach Boże! co ty Włodziu robisz najlepszego!

WŁODZIO. Cicho! jak zaczniesz krzyczeć, to cały mój wynalazek za nic.

NIUNIA (*krzywiąc się*). Takie wynalazki to do niczego.

WŁODZIO. Czekaj, to dopiero początek (*pruje ciągle*) widzisz, potem te druty włożę w kłębek z bawełną, ja widziałem nieraz że Martusia tak robi, potem tę pończoszkę co tam jest w koszyczku położę Martusi na kolanach, a ona będzie myślała, że zrobiła już całą. To będzie zabawne, prawda?

NIUNIA. Nie bardzo, mnie żal, żeś spruł tyle pończochy

WŁODZIO. Masz czego żałować, dopiero to wielka rzecz.

NIUNIA. Alebyś jednak nie potrafił tego zrobić?

WŁODZIO. A gdzieżeś to widziała, żeby mężczyźni robili pończochy? No, nie miej takiej miny, bo mi się zaraz nie szykuje, o, patrz, już i koniec roboty.

NIUNIA (*patrzy chwilę potem mówi z determinacją*). No, kiedy koniec, to i koniec zmartwienia, bo już teraz na to nie poradę (*zbierając z ziemi bawełnę*). A z tem co zrobimy?

WŁODZIO. Wrzuc gdzie chcesz, możesz włożyć do szuflady.

NIUNIA. To zobacz, i wyda się twój wynalazek.

WŁODZIO. Nie tylko mój ale i twój przypuszczam cię do spółki. No, to wrzuc do pieca, teraz lato to tam nikt nie zagląda, a później to i zapomną.

NIUNIA. Lepiej wezmę w kieszeń, a jak wyjdziemy, to wrzucę do sadzawki i koniec.

WŁODZIO (*wtykając druty w kłębek bawełny*). O widzisz, to zupełnie tak jak kiedy Martusia skończy pończochę, a drugiej zaraz nie zaczyna.

NIUNIA. Połóż prędko tę skończoną, bo się przebudzi i wszystko się wyda.

WŁODZIO. Nie obawiaj się, zdąże, słyszysz jak zasypia, (*idzie na palcach, bierze pończoszkę z koszyczka, i rozkłada ją na kolanach Martusi, jako też i kłębek z bawełną, a potem odchodzi po cichu, bierze książkę siada na swem miejscu i zaczyna się uczyć głośno*). Po

odkryciu Ameryki przez Mikołaja Kolumba w roku tysiąc czterysta...

NIUNIA. Mnie się zdaje Włodziu, że ty się mylisz, Mikołaj to był Kopernik, a Kolumb to Krzysztof.

WŁODZIO (*przerzuwając*). To czyste utrapienie z temi imionami, zawsze mi się poplączą i nie mogę z nimi dojść do ładu.

NIUNIA. To tak jak mnie z katechizmem, bo powiedz tylko, czy to potrzebne pisanie książek o tem, co każdy wie. Co to są aniołowie? a co to człowiek? a na co Pan Bóg stworzył człowieka? Niby ja i bez książki tego nie wiem.

WŁODZIO. To takie wymysły na utrapienie nas biedaków.

NIUNIA. Jabym napisała książkę z pytaniami, to proszę, byłoby zupełnie coś innego, bo tego nikt jeszcze nie drukował.

WŁODZIO. A jakie?

NIUNIA (*namyśla się*). Najpierw, byłoby, co to są nauczycielki?

WŁODZIO. A jaka byłaby odpowiedź.

NIUNIA. Zaraz, przecież książka pisze się z namysłem. (*po chwili*). Nauczycielki są to... są to... duchy...

WŁODZIO (*przerzuwając*). A widzisz że nie, bo duchy nie mają ciała, to pamiętam dobrze, a p. Aniela przecie nie bardzo chuda.

NIUNIA. Prawda, myślałam że to łatwiej. No, ale drugie pytanie. Na co Pan Bóg stworzył nauczycielki?

WŁODZIO. Oj, oj! to nietrudno odpowiedzieć! Na to żeby dzieci trażyły lekcjami i dokuczwały im ciągłemi moralami: tego nie można, to nie wypada, to niegrzecznie, a siedź przyzwoicie, a nóg nie wyciągaj, a nie podpieraj się na stole, tej odpowiedzi toby i na wołowej skórze nie spisał.

NIUNIA. To, to prawda, a potem jeszcze w dzienniczku stawiają złe stopnie, za które rodzice się gniewają.

WŁODZIO. Mybyśmy dobrą napisali książkę, odpowiedź np. na to pytanie. Co to jest niebo?

NIUNIA. Rekreacya spędzona w ogrodzie, kiedy nas nikt nie pilnuje.

WŁODZIO. A czyściec?

NIUNIA. Pokój szkolny, kiedy nie umiemy ani jednej lekcji.

WŁODZIO (*kivając głową*). Oj to, to też prawda, ty wtenczas jesteś czerwona jak w ogniu, ciągniesz palce że aż trzeszczą...

NIUNIA. Ty także wtenczas nie bład, mrugasz oczami, i szarpiesz guziki przy ubranku, ledwie ich nie poobrywasz.

WŁODZIO. A i bo też to męki, męki, a p. Aniela żeby się chociaż ulitowała, ale gdzie tam, ja się krztuszę, dławię, a ona patrzy tak, żeby się rad pod ziemię schował.

NIUNIA. Wiesz, że ja to nie mogę znieść jęj wzroku, tak mi się jakoś robi na sercu nie miło. Bo i do czego to podobne tak patrzeć gwałtem na kogo, to nawet niegrzecznie, bo przecie p. Aniela widzi dobrze, że ja się wtenczas czerwienię i jękam.

WŁODZIO. Ba, podobno my się zawsze jękam (*odwracając się w stronę Martusi*). Ale też ta Martusia śpi, a takbym chciał żeby się już obudziła.

NIUNIA. Zróbmy trochę hałasu.

WŁODZIO (*zaczynając głośno*). Po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kopernika...

NIUNIA (*równie głośno*). Co to są aniołowie? Aniołowie są to duchy nauczycielki... e, nie tak... poplątało mi się z tem układaniem książek, i teraz będzie gorzej.

W INDYACH.

Podróźni, którzy przed dwudziestu kilku laty zwiedzali Indyje Wschodnie, a mianowicie przebywali czas jakiś w wielkorządztwie Bengalskiem, czyli Kalkuty, pamiętają zapewne dziś jeszcze przeszliczną choć nie wielką posiadłość w pobliżu miasteczka Tungara leżącą, z ozdobnym w miejscowym stylu zbudowanym pałacykiem, na którego frontonie widniał zdaleka błyszcząc olbrzymiami złoconemi literami napis: „Mac’Ulm, Thorn and Comp.”

Zabudowania odpowiednie wykwintem, otaczały główny budynek, a wszystko tonęło w kwiecistym sadzie, zamieniającym się w odleglejszych krańcach w park rozległy, przepysznie i umiejętnie urządzone, budzący podziw ogólny nawet tu, w tym kraju tak bogatym w olbrzymią i wspaniałą roślinność, że cały prawie sam przez się, bez pomocy sztuki, jest jednym rozkoszniejszym rajskim sadem.

Mieszkańcy Tungary i okoliczni sąsiedzi pamiętali bardzo dobrze istniejący na tem samym miejscu przed dziesięciu laty nędzny domek w lesie; pan Mac’Ulm, przybywszy wtedy właśnie do Indyj z żoną, trojgiem dzieci i bardzo małemi zasobami, kupił za bezcen tę chatę i umieściwszy w niej rodzinę, rozpoczął handel szalami indyjskimi, kobiercami, złotogłowem i t. p. wyrobami. Z początku był to handelek na bardzo pierwotnych zasadach oparty; za poręczeniem pana Thorn bogatego tutejszego kupca z Anglii rodem, zamieszkałego w Tungary, dostawał Mac’Ulm towar od hurtowych składników i wyprzedawał go z pewnym dla siebie procentem, rozwożąc po okolicznościach odleglejszych, a mimo to zamieszkałych przez siebie, lubiące stroić się panie angielskie i postępowe Indyanki.

Wkrótce przeciw niezrównana czynność Szkota, zarówno w sferach kupieckiej i nieposzlakowana rzetelność, zjednały mu wielu kupujących jak i dostawców; wkrótce rozpoznał większą skalę, rozsyłając okrętami do Europy i Ameryki towar, dostarczany z pierwszej ręki z głębin Azji. Chata Mac’Ulm’a musiała wtedy przybrać odpowiednie pozory, i otoczona budowlami jako główny skład pierwszorzędnych bogactw indyjskich, w postaci różnorodnych tkanin niezmiernie cennych, dowożonych ze wszystkich stron przed i zagangesowej krainy.

W owym to właśnie czasie, to jest w chwili początkowego rozwoju przedsiębiorstwa Mac’Ulm’a interesa pana Thorn zachwiały się mocno, a Mac’Ulm wdzięczny za poprzednio doznaną pomoc, ofiarował ją teraz nawzajem przyjacielowi, przyjmując go jako współnika swęj firmy, skutkiem czego dom handlowy „Mac’Ulm, Thorn, and Comp.” nagle rozszerzywszy swą działalność, stanął niezadługo na tych silnych podstawach kupieckiej potęgi, na jakich znajdujemy go na początku 1857 roku, 27 lutego.

Około południa, dnia tego w chwili w której zazwyczaj kantor domu „Mac’Ulm Thorn and Comp.”, wrzał przyspieszoną czynnością, drzwi gabinetu naczelnika firmy otworzyły się i Mac’Ulm stanął w nich, przebiegając bystrem spojrzeniem pracujących w obszernej sali przy biurkach, urzędników swoich.

— Panowie — rzekł z uprzejmym głosem odcieniem — najpilniejsze czynności są już załatwione na dzisiaj, jak sądzę?... a zatem, przywykły już uważać podwładnych moich za należących do rodziny, oznajmiam wam, że w dniu dzisiejszym chcę zapomnieć skrzętności kupieckiej, pamiętając tylko że ojcem jestem: córka moja kończy dzisiaj lat siedmnaście, pragnę uświęcić dzień ten zamknięciem kantoru i wypłaceniem panom gratyfikacyi w wysokości pobieranej całorocznej pensyi... co kasyer ma polecenie natychmiast załatwić.

Posypały się gorące podziękowania i serdeczne życzenia na rzecz córki ojcu składane; p. Mac’Ulm odpowiedział uprzejmym ukłonem i wyszedł z kantoru. Za nim wyszli dwaj bardzo jeszcze młodzi ludzie, tak młodzi że w starłej Europie uważanoby ich za dzieci, ale w Indjach zarówno jak w Ameryce prawie niema dzieci wśród napływowej ludności zwłaszcza, są tylko ludzie mali i ludzie młodzi, imujący się większymi

i mniejszymi interesami. Wszak słyszymy o dwunastoletnich redaktorach w Ameryce, reporterach, przedsiębiorcach i t. p. Podobnie bywa i w Indjach. Dzieci nawet pod opieką rodziców, jeżeli są zmuszone przykimi okolicznościami opuścić kraj rodzinny i długą a niebezpieczną odbywać podróż, i następnie pod obcym niebem dorabiać się chleba w ciężkich i nowych zupełnie warunkach, pomagając rodzicom dojrzewają wcześniej zazwyczaj i prędyj dają sobie radę w życiu, niż pieszczochy, pozostające wygodnie w domowym zaciszu. Tak właśnie stało się z synami p. Mac’Ulma. Jerzy miał lat piętnaście, Edward trzynaście dopiero, oba przecież pracowali już dawno w kantorze ojca jako płatni urzędnicy i osobiście nieraz zastępowali go w dość ważnych interesach, a nawet od roku Jerzy wszedł w czynną spółkę z panem Thorn, jakby dorosły człowiek, jako dostawca żywności dla wojsk wielko-brytańskich miejscowych. Obecnie dwaj bracia rozstawszy się z ojcem u drzwi kantoru, podążyli do swych skromnych, ale zupełnie oddzielnych kawalerskich apartamentów. Tam zmieniawszy suknie codzienne na wykwinie modne garnitury, ze świeżym wpeł rozwiniętym kwiatkiem w dziurce od guzika, udali się następnie do ojca a z nim razem do głównego salonu.

Był to pokój nie uderzający rozległością, bo p. Mac’Ulm straciwszy żonę przed sześciu laty, żył w bardzo nielicznem kółku najbliższych przyjaciół tylko, ale wygodą, wykwin i dobry gust przewodniczył w urządzeniu salonu, a przepyszne kwiaty właściwie podzwrotnikowej strefie były główną i najwspanialszą jego ozdobą. W pośród tego przepychu barw i woni, przed olbrzymiem zwierciadłem stanowiącem jedną bocznią ścianę salonu, stała w tej chwili niby najpiękniejszy z kwiatów Klara Mac’Ulm, cała w bieli indyjskiego muszlinu, i niebieskim kwiatem w jasnych warkoczach i drugim u piersi, jakby dobranemi barwą do barwy jej oczu.

— Pójdź gosposiu moja maleńka — rzekł ojciec roztwierając ramiona stanawszy przed nią — obyś w siedmnaście rocznicę twych urodzin i w każdy dzień twoego życia doznała tyle szczęścia, ile ja go codziennie przez ciebie i od ciebie doznaję!

Dziewczyna skoczyła ojcu na szyję, a potem usunawszy się z oczyma pełnemi łez podobnemi do bławatków rosą zwilżonych, zawołała z uśmiechem.

— A moja suknia, twój podarek ojcuzłku, przypatrz się jak leży: a co?... ledwo z nią wydażono na dzisiaj, ależ śliczna! — i wykręcała się przed ojcem przedstawiając suknię ze wszystkich stron, składając niskie ukłony, aby uwydatnić zalety tej jak obłoczkami owiewającej ją tkaniny, o tyle skromnej i pięknej z pozoru, o ile kosztownej nawet w Indjach na miejscu, jeżeli jest właśnie prawdziwym miejscowym wyrobem. I uściskawszy jeszcze raz ojca, Klara zarzuciła nagle obie ręce na szyję braciom, na prawo i na lewo rozdając pocałunki.

Pomimo różnicy wieku i wbrew temu, co zazwyczaj widzieć się daje w Europie, panienska była swawolniejszą i wogóle o wiele mniej z pozoru dojrzałą umysłowo od młodszych od niej chłopców. Bracia z mimowolną powagą i serdecznym uśmiechem, spoglądali na nią tak samo prawie, jak patrzył ojciec. Przyczyną ich powagi było zapewne wczesne zajęcie się pracą właściwą ludziom dojrzałym, i przeto wyrabiającą w mężczyznach dojrzałość umysłową przed zwykłym czasem.

— Podejrzewam, was — szczebiotała całując na prawo i na lewo śmiejąc się Klara — podejrzewam że i wy macie zamiar złożyć mi życzenia tak jak ojcuś zrobił, tylko przy zwykłej waszej powadze nie zdążyliście uczynić tego dotąd, a więc przyjmuję zamiar jakby fakt spełniony, dziękuję wam, o serdecznie dziękuję!... A teraz pójdźcie na śniadanie, bo panowie Thorn’y podobno już jadą z Tungary — i nagle opuścizając braci, chciała znów skoczyć do ojca, mówiąc z minką przesadną, po francuzku:

— Podaj mi ramię mój ojcze! — Ten rozśmiał się z jej figlarnych minek, chłopcy zatrzymali pierzechającą, a Jerzy rzekł:

— Ależ bo trudno z czemkolwiek zdążyć, mając do czynienia ze stworzeniem kręcącym się bezustannie jak fryga... Otóż życzę ci swawolnicie maleńka, abyś na zawsze pozostała,

czem jesteś, rozweselać nam dom, a na pamiątkę siedemnastej rocznicy urodzin, proszę abyś nosiła te paciorki... — i zarzucił jej naszyjnik na szyjkę.

— I te... dodał — Edwar, okręcając jej rączkę bransoletką.

— Puste, lekkomyślne dzieci! — zawołała z naturalną zupełnie acz niespodzianie zjawioną powagą — kupować mi perły! prawdziwe i to tak duże perły!... Czyliż sądzić, że istotnie lada szklane paciorki nie byłyby mi zarówno miłe jako dowód braterskiej pamięci, zamiast kosztowności, których cena, rozpoczynającym zawód kupiecki mogła stanowić podstawę koniecznego zapasowego kapitału! Patrz ojcze! Nie powinienem im nawet dziękować, bo krzywdzą sami siebie!... — dodała ze łzami w oczach zwracając się do p. Mac'Ulm.

— Ho, ho, ho... patrzcie państwo jakie „maleńka” przybiera tony!... — mruknął Edward półgłosem i z wolna, przypatrując się siostrze z podziwem, przymrużając oczy a głowę podnosząc przytem do góry, z rubaszną trochę a właściwą mu powagą.

— Osobiste interesa wielmożnego pana Jerzego Mac'Ulm jakkolwiek mego współnika, a także jednego z głównych dostawców potrzeb dla armii Jej królewskiej mości w Indyach — odparł ojciec z udaną obojętnością na odezwe Klary — nie podlegają zupełnie mojej kontroli; co zaś do młodszego pana Edwarda Mac'Ulm głównego kontrolera w moim kantorze, za tego ręczyć mogę, że kasa jego nie poniesie uszczerbku przez zakupienie kilku sznurków pereł dla rodzonej siostry, nawet, pomimo iż obarczonym jest obecnie tak liczną rodziną...

— Obarczony?... liczną rodziną?... — powtórzyli ctwierając szeroko oczy brat i siostra.

— Jakto? Czyliż telegrafy nie rozniosły jeszcze na wszystkie strony wielkiej nowiny? i wy nie wiecie, że pani Edwardowa została dziś rano matką sześciorga potomstwa?...

Chwilowe milczenie zdumienia, a potem wybuch śmiechu nastąpiły po tym żarcie: Edwardowa kotka, przez skrócenie „Edwardowa” tak przyzwyczajono się zwać przepyszny egzemplarz kociego rodu z prawdziwego gatunku *angora*, nabyty zeszłego roku przez Edwarda przyjaciela kotów i pielęgnowany starannie; tak samo jak mówiono „Edwardowa” klaczka.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

przez Ewę Maryę.

Wspaniała królowa na zielonym tronie;
 Jój szatą jest piękność, jój mową są wonie;
 Jój ozdobą świecą krople czystej rosy,
 Jój pałacem wielkie, błękitne niebiosy,
 Jój lampami gwiazdy, księżyc, jasne słońce;
 Jój dworem jest kwiecie w ogrodach, na łące;
 Jój ludem są bujne trawy, zioła, drzewa;
 Jój pieśniarzem słowik, co hymn dźwięcznie śpiewa;
 Jój obroną kolce, choć słodycz jój cnotą;
 Jój biesiadą, gościć hojnie pszczołkę złotą;
 Jój szczęściem — poranne, ciche wiosny chwile,
 Nim wzleca natrętni pochlebcy motyle,
 Nim się z drzewin liście posypią wokoło,
 Nim od skwaru, chłodu, poblednie jój czoło;
 Zanim jój korona, tak świetna od rana,
 Nie opadnie burzy podmuchem zerwana...
 I cóż dalej?... Mrozy jesienne, niestety!
 Z jój gałązek czarne zostawia szkielety;

Nad niemi wiatr nuci tonami smutnemi,
 Że piękność i wiosna nietrwałe na ziemi;
 Lecz maj wraca, kwitnie znów gałązka sucha;
 Nad wdzięk lica przetrwa jedno piękno ducha!

Łamigłówka liczbowa.

od Grażyny dla Cieciorczki.

Z imienia i nazwiska polskiej autorki, zamieniając liczby literami utworzyć 20 wyrazów:

- 1) 9, 2, 5, 4, 14, krajowy owoc.
- 2) 5, 10, 11, 12, czynność.
- 3) 16, 8, 3, 17, napój.
- 4) 15, 13, 3, 8, bożek indusów.
- 5) 9, 10, 11, 12, istota bez ciała.
- 6) 7, 4, 5, 16, 8, część ludzkiego organizmu
- 7) 11, 12, 7, 17, kora mająca własności lecznicze.
- 8) 15, 8, 7, 16, 13, pojazd zimowy.
- 9) 9, 5, 10, 15, 16, 13, 4, 7, 7, 13, 16, 13, źródła lecznicze.
- 10) 12, 4, 15, 10, 15, jeden z centaurów.
- 11) 8, 16, 5, francuzka miara ziemi.
- 12) 13, 7, 9, 10, 15, mieszkanie azyatyckiego kraju.
- 13) 3, 13, 4, 14, dziennik polski.
- 14) 12, 16, 7, 7, 6, naród średniowieczny.
- 15) 15, 17, 3, 8, rzeka w Europie.
- 16) 5, 6, 7, 16, 17, naczynie kuchenne.
- 17) 10, 7, 11, 6, 8, miara aptekarska.
- 18) 17, 9, przyimek.
- 19) 16, 5, 17, 15, 13, 14, 15, 16, 13, poeta polski.
- 20) 7, 13, 2, Przysłówek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go

Szarady:

K a n a p a.

OD REDAKCYI.

Przy kończącym się pierwszym półroczu r. b. przypominamy prenumeratorom półrocznym, wczesne odnowienie przedpłaty jeżeli nie chcą doznać opóźnienia w przesyłce Pisma. Oprócz zapowiedzianych prac innych autorów, drukować będziemy w dalszym ciągu **Listy z Wyspy Atlanty** odczytywane przez drobnowidz i przepisywane przez Zofię Urbanowską w dodatku zaś po ukończeniu „Szesnastoletniego wojewody,” powieść Bronisławy Porawskiej dla starszej młodzieży pod tytułem: **Przybrana matka.**

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI LEONII RUDZKIEJ

(ZIELNA N-r. 13. WIELKA N-r. 42)

PRZYJMUJE UCZENNICE STAŁE I PRZYCHODNIE.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Zgoda rodzinna, wiersz p. Helenę Bojarską (drzew.) — Niebieska pończoszka, komedyjka w jednej odsłonie, p. Bronisławę Porawską. — W Indyach. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Kraby czyli pająki morskie (z drzew.) — Obietnice Czesia, wiersz p. Maryę Leonę. — Wyścigi p. Pegaza Skrzydłatego. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



Kraby czyli pająki morskie.

II.

Czerwony pątnik lądowy pospolity na Antyllach spędza większą część roku w dziurach o kilka mil od morza odległych, ale co rok w maju lub w czerwcu t. j. w porze składania jajek wędruje ku morzu gromadą, która zajmuje nieraz trzy mile długości. Nic nie zdoła powstrzymać tego pochodu! pątniki idą ciągle w prostym kierunku, nie zrażając się nawet wysokimi wzgórzami lub innymi przeszkodami. Gdy młode wylęgną się z jajek, cała gromada powraca znów do dawnych mieszkań aby rzucić skorupy.

Inny krab żyjący w morzu Śródziemnym ma dwie ostatnie pary nóg skręcone i skierowane ku grzbietowi. Uczeni nazywają go *Nasiegióra* bo za pomocą tych nóg grzbietowych trzyma nad sobą muszle aby łatwiej chwycić drobne żyjątka wodne.

Niektóre kraby morskie nie posiadają pancerza, są tak przezroczyste, że przez ich ciało możnaby czytać jak przez szkło. Jak to cudnie Pan Bóg wszystko urządził! Domyślcie się, że takiego przezroczystego kraba trudno

dostrzedz w wodzie i łatwiej mu ujść oczu zgłodniałej ryby, szukającej zdobyczy. Kraby lądowe mieszkające na skałach są szare jak kamienie; inne znów posiadają pancerze zielone, nie różniące się prawie barwą od traw morskich.

Z krabów morskich jedne są ślepe, inne mają silnie błyszczące oczy, które świecą jak lampy w tym świecie podwodnym.

(d. n.)

OBIETNICE CZESIA.

„Znów przy stole mam szkodnika?”
„Już nie będę!...” Chwila mija,
Cześ u lampy szkło rozbija,
„Niech Cześ ognia nie dotyka”...
— „Już nie będę”... W pół godziny
Przysmalone brwi chłopczyny.

— „Niech zostanę tu przy mamie,
Będę milczał, nie przeszkodzę;
Ja wachlarza nie połamię;
Taki grzeczny będę w drodze,
Niech mnie papa z sobą bierze!”
— „Ej mój Czesiu! ja nie wierzę!”

Smutno synku, i wstyd wielki,
Ale na cóż zaśluguje
Ten, co ciągle obiecuje,
A przez słabość lub figielki,
Obietnicy nie dochowa?
Któż uwierzy w jego słowa?

Smutno Czesiu! Dzień nastanie,
Kiedy pójdziesz między ludzi...
Czemże wzbudzisz zaufanie,
Gdy się czyn twój kłamstwem zbrudzi?
A jak może być sądzona
Obietnica niespełniona?

Marya Leona.

WYŚCIGI.

— Otóż i miesiąc czerwiec — mówił dwunastoletni Bolesław do młodszego brata, siedząc w ogrodzie — czas mamy wprowadzić bardzo piękny, wolałbym jednak teraz być w Warszawie.

— Dziwne masz życzenie! Siedzieć w mieście w czasie, kiedy wszyscy ztamtąd uciekają! — odpowiedział Lucio.

— O mylisz się bardzo, bo w czerwcu jeszcze nikt z Warszawy nie wyjeżdża, przeciwnie obywatele więcej zjeżdżają dla sprzedaży wełny, kupna potrzebnych narzędzi rolniczych, a także, aby zabawić się nieco. Jest to najbardziej ożywiony karnawał letni, czas wyścigów konnych.

— A cóż tak ciekawego widzisz w wyścigach?...

— Zabawny jesteś mój Luciu! to samo co widzi w nich ów tłum kilkotysięczny, zalegający wtedy Mokotowskie pole. Z jakąż niecierpliwością wszyscy oczekują pierwszego dzwonka, nie słysząc zda się przygrywającą wesoło orkiestry! Z jakim rozgorączkowaniem śledzą bieg koni!

— Być może, słysząc cię jednak zdawałoby się że jesteś dorosłym i masz własne konie wyścigowe. Co do mnie, gdyby tak było nawet, nie myślałbym wcale o wyścigach, skoro wiem że rodzice nie mają zamiaru jechać do Warszawy. A teraz, — ciągnął dalej Lucio — cieszę się iż mieszkamy na wsi, gdzie możemy sobie sami wyścigi urządzić.

— A prawda, wszak mamy dwa własne kucyki — zawołał Bolesław.

— I do tego wcale nieźle konno jeździmy.

— Znakomity pomysł, zaprosimy sobie jeszcze Tadzia z jego bułankiem i urządzimy tu wspólne wielkie wyścigi!

— Miałem to właśnie na myśli — zauważył Lucio — niewiem tylko czy ojciec zezwoli na wyścigową trochę może niebezpieczną dla nas jazdę.

— O co do tego możesz być spokojnym, wszak nieraz już galopowaliśmy dzięki Bogu bez wypadku. Będziemy się przytem ścigać na równej i prostej półwiosnowej drodze, wzdłuż ogrodu. Jest to miejsce najodpowiedniejsze dla naszych gonitw. Ale otóż i dzwonek wołający na obiad — dodał, zrywając się z ławki.

Bolesław wraz z Luciem przeszli następnie do jadalnego pokoju, gdzie przy stole wszyscy domowi byli już zgromadzeni.

Po obiedzie, który przeszedł na zwykłych rozprawach gospodarskich, ojciec rzekł do dzieci:

— Przebierzcie się teraz moi chłopcy w ubiory wizytowe, gdyż za godzinę pojedziecie z mamą do Zacisza, i zabawicie tam pewno do wieczora.

— Ach! jakże się cieszę że dziś zobaczymy się z Fredziem — zawołał Bolesław — bo właśnie chcieliśmy ojczulka prosić o pozwolenie zaproszenia go do nas na przyszłą niedzielę.

— Aby wspólnie z nim urządzić wielkie wyścigi konne — dodał Lucio.

— Jakto? — zapytał ojciec.

— Wszak mamy dwa własne kucyki — rzekł Bolesław — a i Fredzio ma także bardzo ładnego bułanka, a ojczulek przecież może być pewny, że potrafimy się utrzymać na koniach.

— O tak — odrzekł ojciec z uśmiechem — wszyscy trzej jeździcie dobrze, nie mam więc nic przeciw tej zabawie, i owszem chętnie wam nawet dopomogę w jej urządzeniu. W przyszłą właśnie niedzielę oprócz rodziców Fredzia, będą u nas państwo T. z dwiema córkami, pani N. z synem i poproszę jeszcze sąsiadów z Wólki z ich młodzieżą, żebyście mieli dużo widzów, no ale mamy jeszcze tydzień czasu przed sobą a teraz wybierajcie się śpiesznie, bo już blisko czwarta.

Obaj chłopcy ucałowali najpierw serdecznie ręce ojca, dziękując za przyjemność jaką im zamierzał zrobić, a potem w wesołych podskokach pobiegli spełnić jego polecenie i za chwilę siedzieli już z matką w powozie, który żwawo pomknął do Zacisza. Wioska ta była odległa milę od Leśniczówki, majątności rodziców Bolesia i Lucia, niezadługo więc stanęli w miejscu. Fredzio L. był rówieśnikiem Bolesia i jak to już wiemy miał własnego bułanka, na którym bardzo dobrze jeździł, z ochotą więc przyjął zaprosiny sąsiadów.

— Wyborny pomysł — zawołał — czyście już wybrali imiona dla waszych biegunów?

— Nie jeszcze — odpowiedział Lucio — czy to konieczne potrzebne?

— A naturalnie, na wyścigach w Warszawie wszystkie konie mają nazwy.

— Cóż więc proponujesz dla mego kasztanka? — zapytał Bolesław.

— Nazwij go Rosynantem.

— Dziękuję uniżenie, mój kucyk nie jest wcale podobnym do oślawionej szkapy tego waryata Don Kiszota.

— Może wolisz Babię lub Orellę?

— A cóż to były za konie? — odezwał się Lucio — jeszcze nigdy o nich nie słyszałem.

— Babięka był rumakiem walecznego rycerza hiszpańskiego Cyda Ruy Dziaza z przydomkiem „el Campeador” t. j. wojujący, który żył w końcu XI wieku za panowania Ferdynanda I króla Kastylji; Orella zaś piękny wierzchowiec Roderyka, króla Wizygotów, słynny iż w bitwie z Maurami pod Heres-della-Frontera, uniósł swego pana z pola walki na dalekie wzgórze Andaluzji i tem go ocalił od niechybnej śmierci.

— Fiu, fiu — zawołał Bolesław — nie wiedziałem mój Fredziu, że z ciebie taki historyk, lecz mam już dla mego kuczka nazwę Bucefala.

— A mój dla oryginalności będzie Rosynantem.

— Mój zaś bułanek zwie się odtąd Orellą — rzekł Fredzio, poczem wszyscy trzej poszli do ogrodu, gdzie do wieczora zabawiali się grą w krokiet.

Nadeszła wreszcie tak niecierpliwie oczekiwana przez chłopców niedziela. Pogoda była prześliczna, słońce od samego rana świeciło jasno; ani jedna chmurka nie ukazała się na niebie.

Wróciwszy z kościoła, gdzie jeździli jak zwykle z rodzicami, Bolesław i Lucio przy pomocy Janka, kredensowego chłopca, zajęli się przygotowaniami do wyścigów, zapowiedzianych na 5-tą godzinę po południu. Na drodze przeznaczonej do gonitwy, ustawiona w jednym końcu baryera, oznaczała początek wyścigów; w drugim zaś umieszczony słupek z dzwonkiem oznaczał metę. Wprost słupka z lewej strony drogi ustawiono rzędem krzesła, przeznaczone dla widzów. Za radą ojca dla urozmaicenia programu dodano jeszcze wyścig pieszy, program zaś ów według pomysłu Bolesia brzmiał jak następuje:

Niedziela dnia 8 Czerwca 1890 r.

Wielkie wyścigi w Leśniczówce.

PROGRAM.

1. Wyścig pieszy: pp. Alfred, Bolesław i Lucyan.
2. „ konny, pp. Alfred na Orelli i Bolesława na Bucefale,
3. „ „ „ Bolesław na Bucefale i Lucyan na Rosynancie.
4. „ „ „ Lucyan na Rosynancie i Alfred na Orelli.
5. „ „ „ Alfred na Orelli, Bolesław na Bucefale, Lucyan na Rosynancie.

Początek o godzinie 5-tój po południu.

Program ten, rozpisany w kilkunastu egzemplarzach, pięknym kaligraficznym pismem Lucia, miał być sprzedawany pomiędzy widzami i z przeznaczeniem do chodu na odnawiający się kościół parafialny.

Wybiła czwarta, wszyscy zaproszeni poczęli się zjeżdżać, a pierwszymi byli oczywiście państwo L. z Fredziem (bułanek został przyprowadzony wczesnym rankiem, aby miał czas wypocząć). O godzinie 5 wszystko już było gotowe. Publiczność, złożona z przybyłych gości, rodziców, ciotki, oraz nauczyciela Bolesia i Lucia, zajęła krzesła; w pobliżu stanęła gromadka ciekawych, wyległych z chat wieśniaków, u słupka z dzwonkiem zasiadł ojciec Bolesia i Lucia, uproszony na sędzię wyścigów. Janek, chłopiec kredensowy i stangret Makary trzymali konie gotowe do biegu. Niepodobna nam przedstawić dokładnego obrazu gonitwy, powiemy więc tylko że nasi bohaterowie w wyścigu pieszym równie jak konnym z wiatrem szli w zawody i wszyscy zdobyli nagrody, które im nie wspominając o tem poprzednio przygotowała matka Fredzia.

Lucio przegoniwszy wszystkich w wyścigu pierwszym, dostał przycisk do papieru z wyobrażeniem charta, Fredzio wysunął się najpierw poza słupek w wyścigu konnym i dostał pugilaresik z koniem wymalowanym na okładce, a Bolesz zwyciężywszy w dwóch ostatnich biegach, otrzymał wielką nagrodę, bardzo ładną szpicrutę. Zgromadzeni młodzi goście bawili się doskonale tak w czasie wyścigu jak i przez resztę wieczora uprzyjemnionego różnemi gramami w ogrodzie, poczem nastąpiła herbata i suta wieczerza w dużej altanie przy oświetleniu papierowych latarni chińskich. Rozjechano się też późno, a na następną niedzielę rodzice Fredzia zaprosili wszystkich do siebie. Mówiono że oprócz konnych i pieszych będą tam jeszcze wyścigi łodziami na wielkim stawie, w których udział wezmą i panienki umiejące wiosłować, ale to było jeszcze wątpliwe, gdyż pani F. była przeciwną wodnym przejażdżkom młodzieży, słusznie obawiając się zawsze wypadku, o który wtedy nie trudno.

Pegaz Skrzydlaty.

ZAGADKA.

(ulożyła Góralka).

Czy to wprost czy wspak,
Zawsze jestem ptak.

Czarodziejska sztuczka.

Od Łapki gołębięj dla Dobrej pani.

Od wyrazów: Baryłka, Kura, Grusza, Druga, Sucho Kurta, odjąć wyrazy oznaczające: Odrobinę ziemi, bryłę lodu, dwa słowa w 3-ciej osobie lic. poj. czasu teraz. organ słuchu i ptaka domowego a zostanie imię męzkie.

Skrzynka do listów.

Dobre i wdzięczne masz serduszek **Jodełko z nad Noteci** i pamięć twoja o tej, której już nie ma, wielce na nas miłe uczyniła wrażenie, ale tu *zamawiań naprzód* żadnych nie trzeba, bo każdy co chce miał i mieć może fotografię „Kochanej pani” i niejednemu i niejednej na żądanie była już posłana, więc odezwa twoja byłaby zbyteczną i dla tego jej nie umieszczamy. Gołąbka uściśnienia ci przesyła.

Niech Bóg cię błogosławi i wspiera na noworozpoczynającej się drodze, **Staszko z Podola**. Zachowaj uczucia, które masz dla nas podobnie jak my pamięć o tobie, a jeżeli przyjedziesz tu kiedy, o czem przecież wątpić trudno, to niezapomnij o naszej redakcyi.

Grażynie, która z takim zamiłowaniem, a często bez powodzenia oddaje się zasuszaniu kwiatów, podajemy przepis następujący przez doktora Szyszylowicza ogłoszony w Wszechświecie: W naczyniu o szerokim otworze rozpuszcza się naftalina w benzynie aż do jej nasycenia, i w tę ciecz wrzuca się na kilka sekund świeże kwiaty, które się pokrywają drobnemi kryształkami naftaliny. Po wyjęciu z benzyny, stosownie do budowy kwiatów, kładzie się je na papierze lub wieszka na nitce, uważając aby się z nimi obchodzić bardzo delikatnie. Kwiaty o płatkach grubych muszą pozostawać w płynie dłużej. Najlepiej zasuszają się kwiaty niebieskie, czerwone i żółte, białe wyglądają brudno. Przy użyciu benzyny należy wystrzegać się sąsiedztwa ognia z powodu wielkiej jej zapalności. W imieniu innych korespondentek prosimy o wiadomość, jak się uda doświadczenie.

Wesoła Krakowianko, i nam twoja „wielka radość” sprawiła wielką radość.

Różowej Jutrzence oraz **Mar. Scz.** dziękujemy za pamięć o kolonjach letnich. Datki takie są bardzo pożądane, bo tak wiele ubogich dzieci oczekuje dobrodziejstwa oddychania choć raz w życiu świeżem wiejskim powietrzem. O rezultacie konkursu doniesiemy, tymczasem cieszymy się bardzo, żeśmy nową zyskali korespondentkę.

Ciekawemu posłaliśmy żądane numera, aby mu jak najspieszniej oszczędzić zmartwienia.

W Ant. Nat. mile witamy nową korespondentkę. Liścik tak jej jak i Niezapominajki z Polesia bierzemy w opiekę.

Kochana **Niezapominajka z nad Jabłoni** przysłała nam rzeczy, których przeznaczenia się nie domyślamy, czy mamy je już uważać za robotę konkursową?

Moja ty sympatyczna **Wróżbiarko** szczęścia! Za liścik twój miły a serdeczny, z całego serca ci dziękuję, a także za dołączone życzenia szczęścia. Wiesz, najmilsza **Wróżbiareczko**, że w samą porę mi takie życzenie przysłałaś i może to mi służyć rzeczywiście za dobrą wróżbę na przyszłość, bo gdy będziesz czytać ten liścik,

wasza dawna Staszka przeistoczy się już w poważną osobę i przystroi w czepeczek. Żałuję tylko mocno, że pozbawioną będę od-tąd przyjemności pisywania do was, tracę wszelkie ku temu prawo, trzeba miejsca ustąpić młodszym; lecz „Wieczory” czytać będę i nadal, gdy spotkam wśród liścików imię twoje, lub której z lepiej mi znanych pańienek, serdecznie każdą wspomnę. Zachowaj mię w pamięci, może kiedyś spotkamy się w życiu, miło będzie listowną, przyjaźń odnowić w rzeczywistości. Żegnam cię, żegnaj wszystkie me przyjaciółeczki, Kuropatwę z nad Ikopetiu i Stokrotkę z nad Stochodu serdecznie całuję. *Staszka z Podola.*

Kochana polna Rózo! Czy chcesz do mnie pisywać? Co ci się najwięcej podobało w Wieczorach przeszłorocznych, bo mnie „Podziemia Barwałdzkiego zamku”. Odpisz spiesznie. Całuje cię *Kwiat Jabłoni.*

W odpowiedzi na twe pytanie, miła Złota Tęczo donoszę ci, że jestem ciemną szatynką o szafirowych oczach, wysokiego wzrostu, z natury bardzo żywą, lubię huśtawkę, konną jazdę i tańce. Czy grasz na fortepianie? bo ja mam ogromne do muzyki zamiłowanie. Ściskam cię serdecznie i proszę o pamięć. *Rosiczka z nad Rowu.*

Kochana Kukulczko! Podobne mamy pseudonimy, donieś mi więc jak ci na imię, ile masz lat, gdzie mieszkasz i czy masz rodzeństwo? Nazywam się Zosia mam lat 12, mieszkam na wsi i mam liczne rodzeństwo, pięcioletnią siostrznicę Zosię i dwóch siostrzeńców, trzyletniego Jasia i półrocznego Adasia. Całuję cię serdecznie i proszę odpisz prędko, *Kukulce z pod Lublina.*

Kochane: Kulko Śniegowa, Kopciuszku i Cicha Wodo! Jakżeż nieodpowiedni pseudonym obrałaś, Kuleczko. Śnieg jest za-zwyczaj zimny, a ty tak ciepłym słówkiem odezwałaś się do mnie. Gdzie mieszkasz? Dziękuję ci Kopciuszku, żeś się do mnie odezwała. Jak ci na imię, ile masz lat, i czy lubisz rysunki? Noszę imię młodej rumuńskiej poetki, której życiorys Wieczory podawały w przeszłym roku, droga Wodo. Mieszkam na Ukrainie; z balkonu mamy bardzo ładny widok na wieś i wodę. Całuję was wszystkcie; nie róbcie jak ja i odpiszcie prędko *Białej Ostróżce.*

Kochana Ako! Mam do ciebie wielką sympatyę i chcia-labym z tobą korespondować przez drogie Wieczory. Donieś mi gdzie mieszkasz, jak się zowiesz? O mnie dowiesz się z listu mego do Bławatki z nad Horynia w numerze 3 Wieczorów R. Oczekuję niecierpliwie odpowiedzi. *Życzliwa Niezabudka z nad Chomoru.*

Kochana Gałazeczko Heliotropu. Jeżeli się nie mylę miesz-kasz w Kaliszu, a ja nad Prosną. Zechciej mi odpisać, gdy się w ten sposób bliżej poznamy, domyślił się może kto jest: *Jarzębina*, która serdecznym uściskiem wita wszystkie towarzyszyki.

Droga Cyganeczko! Według tego co mówisz w ostatnim nu-merze Wieczorów R., chętnie piszę do ciebie, i proszę abyś mi co o sobie doniosła. O mnie dowiesz się z listu do Niezabudki z nad Chomoru w numerze 2. Szczerze ci życzliwa *Sasanka.*

Kochany Poranku majowy! Wybacz mi tak długie milcze-nie z powodu braku czasu. „Podziemia Barwałdzkiego zamku” po-dobały mi się, lecz ze wszystkich powieści, jakie dotąd w „Wieczorach”, czytałam najlepiej mi się podobała „Najnowsza powieść Deo-tymy”. Co obecnie czytujesz? Ja czytałam niedawno „Starą Baśń” i „Lubonie” Kraszewskiego, któremi jestem zachwyconą. Jeżeli nie potrzebujesz moich Wieczorów, to proszę odesłaj je do Gródka do do cici O. Przyjmij wraz z rodzeństwem serdeczne uściski od *Rosiczki.*

P. S. Ucałuj odemnie rączki mamy.

Kochany Józiku K.! Nie znam cię, ale wiem że mieszkasz w Cumanice i że masz brata Stasia. Co porabiasz? Ile masz lat? Odpisz mi jaknajprędzej. *Plug Poleski.*

Kochana Białonóżko z Karpat i Biała Orliczko! Jakie są wa-sze imiona, ile macie lat i gdzie mieszkacie? Czy należycie do konkursów? Odpiszcie kochającej was *Niezapominajce z nad Warty.*

Droga Aksamitko! Czemu do téj pory nie odpisujesz? cze-kam dotąd napróżno. Jak myślisz spędzić tegoroczne wakacje?

Zapewnę czytasz „Pod wpływem błogosławieństwa”, prawda że to ładne? Ściska cię *Leśna Konwalia.*

Kochany Raku Morski! Mam lat 13, uczęszczam do 3-ój klasy gimnazyum, na imię mi Władysław. Donieś mi co o sobie. Twój *Promyżek ze Wspólniej.*

P. S. Posyłam ci szaradę, którą może ujrzyysz w druku je-żeli będzie dobra.

Kochany Komarze przedpotopowy! Bardzo mi się podoba twój pseudonym i chciałbym korespondować z tobą. Jaka ci się powieść najwięcej podoba w Wieczorach? bo mnie „Pod wpływem błogosławieństwa”. Odpisz *Rycerzowi błękitnemu.*

Jestem nową prenumeratorką, więc chciałabym z wami ko-respondować miłe siostrzyczki. A ponieważ wasze pseudonimy kochana Cyganeczko i droga Zorzo podobały mi się, sądzę więc że i osóbkę wasze podobać mi się będą. Zatem proszę bądźcie tak do-bre i napiszcie do mnie kilka słów. *Biały Bez.*

Witamy cię Niezapominajko z Zacisza! Jesteśmy również nowemi prenumeratorkami. Bądź łaskawa donieś gdzie mieszkasz? ile masz lat? Co cię najwięcej zajmuje w Wieczorach? Do widze-nia odpisz prędko siostrzyczkom. *Kalinie z nad Dniepru i Kwia-ciarce.*

Mylisz się, Czarodziejko droga, nie jestem córką lekarza i mam tylko jedną siostrzyczkę, jednak chętnie z tobą korespondo-wać będę jeżeli się na to zgodzisz. Donieś mi proszę, gdzie się uczysz i czy należysz do konkursu? Kwiecie paproci, chociaż cię nie znam, wiem że mieszkasz niedaleko od nas w S. i masz cztery siostry M., J., A. i P., oraz braciszka Władzia. Zgadnij kto ja jestem? Ściskam was wraz z Kureczką z nad Ikwy. Wasza przy-jaciółka *Wiedenka z żywoplotu*, dawniej biała Chmurka.

Droga błękitna Kokardko! Bardzo lubię kolor błękitny, bo przypomina mi on niebo, więc chciałabym pisywać do panienci ma-jącej tak ładny pseudonym, Mam lat ośm, może nie zechcesz mi odpowiedzieć będąc starszą. Ale jeżeli zechcesz, to donieś ile masz lat, gdzie mieszkasz i uczysz się. Mnie na imię Maryla, mieszkam w Warszawie i uczę się w domu. Całuję cię serdecznie, *Boginka z nad Ejdyni.*

Kochane pańienki! Pragnę z wami się poznać przez nasze kochane Wieczory. Na imię mi Marylka, mam 6 lat, mieszkam na wsi nad rzeką Wartą, uczę się przy mamusi. Mam młodszego bra-ciszka Genia, żółtą kurkę, dużo małych kurczątek i mały ogródek. Proszę aby która z pańienek do mnie napisała. Całuję wszystkie serdecznie, *Kuropatewka z nad Warty.*

Drogie moje: Stokrotko z nad Stochodu, Wróżbiarko szczę-ścia i Trawko z nad Fryby! I ja od razu sympatyę do ciebie po-wzięłam, droga Stokroteczko, ale dziś dopiero pisać się odważyłam. Pseudonym, którym wzgardziłaś luba Wróżbiarko, ja teraz przy-jęłam. Traweczko moja, wiedz że się znamy doskonale. mam lat 13, znasz jedną z moich przyjaciółek, która Niną mnie zowie. A teraz zgadnij kto się ukrywa pod pseudonymem *Jodelki z nad Noteci.*

Kochana Brzydotko z nad Tamizy. Pewnie nie jesteś zaro-zumiała, skoro obrałaś sobie pseudonym „Brzydotki” donieś mi jak ci na imię, gdzie się uczysz i jaką naukę lubisz najlepiej? Ja uczę się w domu z Kukulką, przy starszej siostrze Wiochnie z pod Lu-blina i najlepiej lubię historię powszechną. Kochana Iskierko Lu-belska! Obie nazywamy się Iskierkami i obie mieszkamy w Lu-belskiem. Donieś mi czy jesteś żywa jak prawdziwa iskierka, czy mieszkasz w mieście czy na wsi, jak ci na imię i ile masz lat? Ja jestem dosyć poważna, mieszkam na wsi, między Chodlem Urzędo-wem, a Bełzycami, mam lat dziesięć, na imię mi Jania, nazwisko moje zaczyna się od litery G. Całuję was serdecznie Brzydotko i Iskierko, proszę odpiszcie mi prędko. Wasza *Iskierka z pod Lublina.*